

W

OLIMPIJSKIM TEMPIE LECZ... BEZ KIERPCÓW

Sportowiec Nr. 7

10.02.1960 r.



Ostatnie chwile na polskiej ziemi. Józka Sobczaka (pierwszy z lewej) ciągle jeszcze dręczy... brak kierpców. Obok trenerzy Mróz i Zubek oraz Karpień

W niedzielę o 11 start z warszawskiego lotniska samolotem do Zürichu, a już... wieczorem następnego dnia kolacja w Squaw Valley. Prawdziwie olimpijskie tempo! I jeżeli również na śnieżnych trasach polscy reprezentanci nadadzą podobne tempo, to ojcowie naszych narciarzy, którzy 28 lat temu w 1932 r. startowali na III Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Lake Placid w USA, zostaną zdystansowani o kilka długości.

Zresztą cóż tu porównywać. Zdzisław Motyka, Bronisław Czech, Stanisław Skupień, Andrzej i Stanisław Marusarzowie podróżowali do USA przeszło tydzień. A wspaniały transatlantyk francuski tak dał się im we znaki, że Zdzisław Motyka ofiarowywał kapitanowi aż dwa złote, aby... chociaż na godzinę zatrzymać statek, zaś wymęczony kołysaniem, karmieniem ryb i przymusową dietą Jędrzej Marusarz oświadczył, iż nigdy już więcej w życiu statkiem nie popłynę.

Tymczasem ubrani w piękne szafirowe kurtki, tego samego koloru spodnie narciarskie z najnowszego krajowej produkcji „elastiku” i ładne czapeczki, olimpijczycy 1960 r. czują się na lotnisku jak u siebie w domu. Mimo gorliwych poszukiwań nie udało mi się odkryć ani jednego reprezentanta, który kilkakrotnie nie chciałby nie leciał samolotem. Prawdziwą rekordzistką jest tu wielomistrzyni świata w łyżwiarstwie szybkim p. Helena Pilejczykówna.

— Sądę, że w tegorocznych zimowych wozach lotniczych grubo przekroczą cyfrę 10.000 przelecianych kilometrów. Obecnie przyzwyczaiłam się już do podróży samolotem i znowszą ją całkiem dobrze, ale dawniej mocno chorowałam.

— Nie wszyscy jednak ufają bez zastrzeżeń pięknej niedzielnej pogodzie. Trener Mróz na wszelki wypadek rozdzielił swoim pupilkom pastylki przeciw powietrznej chorobie. Zdradza mi, iż najgorzej znosi lot Helcia Daniel-Gąsienica.

Józka Pęksa-Czerniawska jeszcze na lotnisku kupuje dwie butelki szamponu do włosów. Śmieję się, iż przyda się on dla całej sztafety na uroczystość dekoracji brązowym medalem olimpijskim. Józka smutnieje.

— Gdyby była z nami Marysia Bukowa... Kiedy żegnałyśmy się w Cortinie, nie przypuszczaliśmy, iż będziemy startować na jeszcze jednej Olimpiadzie. A jednak my z Helcią dotrwałyśmy i jak sądzą będziemy brać jeszcze udział w zakopiańskim FIS, zaś Marysia wycofała się.

— A jak żegnali Panią w domu?

— Miałam wiele kłopotu ze spakowaniem rzeczy, bo mój mąż (doskonały biegacz narciarski — przyp. red.), wyjechał na zawody do Włoch i brak było męskiej ręki. Sądę jednak, że nie zapomniałam niczego.

Musimy dodać, iż bagaże naszych olimpijczyków znacznie przekroczyły limit wyznaczony przez PKOl, gdyż prócz sprzętu sportowego dziewczęta i niektórzy chłopcy wiozą jeszcze stroje góralskie, a kierownictwo niezliczoną ilość prezentów dla Amerykańskiej Polonii.



Taki mały i... taki wielki bagaż. Lecz nie martwcie się — z czym jak z czym, ale z nartami daje sobie Gut-Misiąg doskonałe radę. (Fot. S. Rostkowski)

Józef Sobczak-Gąsienica, uznany, jednogłośnie za najlepszego tancerza drużyny olimpijskiej, martwi się brakiem kierpców.

— Portki wciągnęłam do futerału nartami, zaś kierpce miałam przy sobie kolega na stacji w Poroninie. Obiecywał i... tyle go widziałem. Będę chyba tańczył na bosaka.

Józek Gut-Misiąg i Józek Rysul nie mają tego rodzaju zmartwień. Są najlepszymi śpiewakami w zespole. Im do występów żaden sprzęt nie jest potrzebny.

Jak widać najwzschodniejszą ułentowanymi członkami ekipy są Józefowie. Gdy do kompletu dodamy jeszcze Józka Karpiecia, Józka Pęksa-Czerniawska i trenera Józefa Zubka, okaże się, że klan Józefów stanowi dokładnie jedną trzecią całej olimpijskiej ekipy. Co to się będzie działo w dniu imienin 19 marca w Zakopanem?

Za chwilę start! Olimpijska osierbnastka szykuje się do wyjścia na płaszczyznę. Rozesmiane twarze, pożegnane okrzyki. Tylko trenerowi Kozdrunowi i Włodkowi Tajnerowi daleko od śmiechu. Dziewiętnasty, a właściwie polski olimpijczyk nr 1 1960 r. Zdzisław Hryniewicz nie zobaczy skończył w Squaw Valley. Trudno wobec tej wielkiej tragedii najbliższemu człowiekowi z lekkim sercem opuszczać kraj.

Przewodniczący PKOl, Włodzimierz Reczek, wręcza białoczerwony bukiet kierownikowi ekipy mgr. Fischerowi. Teraz na kilka godzin opiekę nad polską drużyną olimpijską obejmie sympatyczny stewardesa p. Teresa Kopecka. Olimpijczycy jeszcze z szyby samolotu kiwają rękami i wszyscy myślą zapewne o jednym — oby ich również serdecznie witano, jak teraz żegnają.

KRZYSZTOF BLAUCH